

Pochwała głupoty

8 stycznia 2025

Niedługo po katastrofie elektrowni atomowej w Fukushima odbywał się szereg najróżniejszych spotkań i paneli dyskusyjnych. Oczywiście, miałem okazję na to wszystko chodzić i śledzić w miarę na bieżąco.

Jednym z zaciekle dysputantów, był osobnik uchodzący za mistrza bon motu, niejaki Turski. Naukowo był on ekspertem od spraw adsorpcji (mówiąc po ludzku, osadzania się różnych substancji na powierzchniach). Poza tym dość znany był jako popularyzator. W Pałacu Kazimierzowskim, polemizując z grupką nawiedzonych humanistów, powiedział do nich wprost. Wiecie państwo – zaczął – tak sto lat temu, idąc na rozmowę do ludzi wykształconych, to wstyd było nie wiedzieć, co to jest logarytm. Normalką – kontynuował – było rozmawianie o kwestiach nauki, techniki czy kultury. A teraz – szukał w swoim zwyczaju pointy – to mamy jakąś totalną zapaść i nawrót postaw antyscjentystycznych. Później – jak to Turski – musiał kogoś za wszystko obwinić, zdaniem rzeczzonego pana fizyka odpowiedzialny za całe zło, zepsucie i postawy przeciwko nauce był Herbert George Wells. Uczestniczyłem w tamtej dyskusji i współ z moim koleżeństwem z Geologii nie dość, że byliśmy zmęczeni humanistycznymi dyletantami, to jeszcze w pewnym momencie samym Turskim.

Niemniej jednak o tym nie będzie. Warto zwrócić uwagę na postawę, jaka została napiętnowana przez Turskiego. Zresztą, jak najbardziej słusznie, bo dyletanctwo pewnych grup humanistycznych jest niezwykle irytujące. Do tego zwrócił on uwagę, że dawniej to wręcz wypadało mieć jakąś wiedzę, o czym się w świecie nauki dzieje, mieniąc się człowiekiem wykształconym. Również wręcz wypadało o tym rozmawiać. Poza tym to ludzi też interesowało. Weźmy pod uwagę, kiedy nawet klasyczne pozycje literatury fantastyczno-naukowej powstają, jak rzeczony Wellsa, ale także Verne'a, Lasswitza czy

Rosny'ego. Dzieje się to właśnie w tamtej wspomnianej epoce. A obecnie... No cóż, doszliśmy do jakiegoś antyintelektualizmu.

Zresztą, nie trzeba wcale daleko szukać. Stare przysłowie mówi pod latarnią najciemniej. Ostatnio mogłem się widzieć ze znajomymi, co większa część ma literki przed nazwiskiem. Doktor, wszyscy chcą również, aby ta lista tych tytułików się wydłużyła. Poza jedną osobą nie umiem powiedzieć, czym ci ludzie się zajmują. Nie z tego powodu, że nie rozumiem, że nie umiem powtórzyć, że język sobie połamię na jakiejś długiej nazwie. Po prostu oni o tym nie mówią. Wiem natomiast jedno, że płacąc podatki utrzymujemy taką bandę. W przypadku tej konkretnej jednej osoby to akurat wiem, trochę na ten temat przegadaliśmy, również o sposobach rozumowania różnych naukowców. Podobnie też wiem o zmianach obiektów zainteresowań i o ewolucji zainteresowań badawczych tego jegomościa. Jak to przyszedł na studia, chcąc zajmować się kopalnymi ssakami, później zmienił zainteresowania na bezkręgowce, sporo czasu poświęcił osłonicom, później za granicą parał się najpierw wieloszczetami, a następnie bardziej ogólną ewolucją gradientów morfogenetycznych. Nad tym siedział w Norwegii, w Bergen. A w Niemczech w Getyndze zajmował się wirkami, z takimi tematem też przyjechał do Polski; nie wiedząc zresztą czemu i pchany zapewne dekadentckim resentymentem. W tym przypadku nie mam wątpliwości. Również gadaliśmy o konieczności odbudowy Polskiego Towarzystwa Zoologicznego. Co sam to jakby uciekał od tematu, ale tu mogę go rozgrzeszyć. Nigdy nie lubił pakować się w nazbyt wiele inicjatyw. Wyprawę na Ochrydę też chciał bardziej minimalistyczną, wbrew moim pierwotnym zamysłom.

Natomiast odnośnie całej reszty. Nie umiem powiedzieć, czym się ci ludzie zajmują, poza tym, że jeden z nich awanturuje się na radach wydziału z jakimiś idiotami. No i śmiem twierdzić, że w tej ocenie ma rację, ponieważ takim gadulstwem zazwyczaj trudnią się chcące zaistnieć miernoty. Ale nie usłyszałem, że oni zajmują się tym i tym. Z normalnym

człowiekiem posiadającym jakieś wykształcenie, to rozmowa jest jasna, że pan X jest na przykład technologiem i pracuje w fabryce materiałów gumowych, natomiast pani Y jest ginekologiem, prowadzi prywatną praktykę. To sprawa jest jasna. Natomiast państwo akademicy są jacyś dziwni.

Podobnie też zazwyczaj oczekuje się, że tacy ludzie będą kulturalni i dystyngowani. W krótkim czasie byłem sobie na kilku koncertach oraz sztukach teatralnych. Też widziałem kilka ciekawszych filmów. O tym wszystkim można rozmawiać. Tylko że prędzej streścisz takie „Megalopolis” Francisa Forda Coppoli jakiemuś przypadkowo napotkanemu człowiekowi, stojąc na przystanku autobusowym czy w kolejce w sklepie, aniżeli wielkiemu dystyngowanemu akademikowi. I to tak wielkiemu, że w lektyce powinien być noszony. Podobnie też pogadać o technice pianistycznej Pianohooligana, spróbować go zestawić z pianistami jazzowymi. No o takich rzeczach się nie pogada. Natomiast dowie się, że schamienie równa się socjalizacja i nie można brutalnie wypowiadać się o polskim rapie. Co to już klasyk powiedział wprost, że nie nazywa się szamba perfumerią. Doktorzy! No i co ich te tytuły doktorskie są warte, skoro prezentują poziom zbliżony do dresiarstwa, do karyn czy sebiksów, z których uwielbiają się nabijać? Można postawić też inną tezę. Jest wysoce prawdopodobne, że cała ich energia intelektualna została wykorzystana, aby wymęczyć te literki przed nazwiskiem.

Powiedziałbym, że dwójka lekarzy, jaka się tam przypadkiem napatoczyła, stanowiła rozmówców nawet ciekawszych niż akademicy. Poza priapizmem czy endometriozą, które wyszły zupełnie przypadkiem, dało radę porozmawiać na przykład o starszych grupach rockowych, bez jakiegoś zadęcia, że to boomerskie czy jakieś takie przestarzałe. Normalna dyskusja jak człowiek z człowiekiem.

Podobnie też z kwestią wydania literackiego tekstu drukiem w antologii. Czy ktokolwiek się mnie spytał, o czym popełniłem te trzydzieści kilka stron opowiadania? Cóż. Przynajmniej

próbuję pisać rzeczy, które ktoś czyta, w przeciwieństwie do tych doktorków. Oni bowiem produkują tony tekstu, jaki nikogo nie obchodzi, nieczytany absolutnie przez nikogo. Nawet ludzie, którzy ich cytują, nie czytają ich wypocin. Kiedy kogoś spotkam, kto czytał mój tekst, mogę się wymienić z nim uwagami. Podobnie mogę rozmawiać z innym pisarzem-amatorem, o tematach, o sposobie pisania. Mogę sobie na konwencji pójść na panel i stoczyć dyskusję z bardziej doświadczonymi autorami, którzy wydali już więcej pozycji. Owych panów naukowców natomiast nie obchodzi już sens tego, co robią i co piszą, grunt, żeby to było dobrze cytowane, żeby oni mieli dobre współczynniki. Dla nich nauka jest czystą, biurokratyczną strukturą; i niczym więcej!

No już nie mówię, żeby gadać tylko o takich intelektualnych tematach, to jest przegięcie w jedną stronę. Jakieś proporcje jednak powinny być zachowane. Jeżeli bowiem doktor ma pojęcie o świecie mniejsze niż absolwent zasadniczej szkoły zawodowej, to należy zadać pytanie. To gdzie my jesteśmy jako cywilizacja? Przytoczę jeszcze raz Turskiego. W roku 2011 roku mówił on sto lat temu. W tamtych czasach niektórzy sądzili, że żyją u schyłku dziejów. Nie na darmo mówi się na przełom wieków fin de siècle. To w takim razie, co się dzieje teraz? Niektórzy historycy nauki głoszą tezę – acz czynią to po cichu – iż w średniowieczu ówczesny akademik miał większe ogólne pojęcie o wszystkich naukach niż obecny naukowiec. No i mają rację, ponieważ niejednokrotnie są to głąby. O pewnych specjalnościach nigdy nie miałem dobrego zdania. Zazwyczaj bardzo ciency między uszami byli biolodzy molekularni czy paleontolodzy. Natomiast tutaj towarzystwo zawsze lubiło być takie mądralińskie i się wywyższać. Uważać zwykłych studentów wydziału biologicznego za bydło i hołotę. Tylko że ostatecznie czym się od nich różnią? I jakie mają podstawy do tak dobitnych stwierdzeń?

Za młodu jeździło się na obozy naukowe. Tam niejaki Ojciec Dyrektor chciał zrobić ze mnie i szeregu ówczesnych kolegów

ludzi kulturalnych. Po latach myślę sobie, że jedynie jego sposób działania był nazbyt forsowny; ja się nabawiłem trwającej wiele lat niechęci do muzyki określanej jako poważna czy klasyczna. Dopiero jak mi minęło ćwierć wieku, zaczęło mi przechodzić. Później natomiast doceniłem, że takie próby były podejmowane. Teraz myślę, że Ojciec Dyrektor rozumował pewnymi standardami inteligenta i pomimo partyjnego, komunistycznego rodowodu, wyobrażenie tego inteligenta miał przedwojenne albo sięgające jeszcze bella epoque. Patrząc natomiast na to współczesne ogólne zdiadzenie, można dojść do wniosku, że jest to kompletnie anachroniczne. Skoro już doktor może być idiotą, a nawet gorszym niż taki obszczymurek, bo ma pretensje, bo wyciąga łapska po nasze pieniądze. W dodatku wiecznie mu mało! Po prostu obserwujemy jakąś pochwałę głupoty.

Kiedy zaczynało się studia, to rozmawiało się wiele na różne tematy. W głupiej palarni na wydziale potrafiła się toczyć debata o Freikorpsie i Heimwehrze! Jeszcze z tamtych dyskusji wynosiło się książki do przeczytania i albumy do przesłuchania. Tak później przeczytałem komplet Lovecrafta oraz przesłuchałem szereg albumów Allmann Brothers Band czy Lynard Skynard! I to jest tylko mały fragment tego, co się nauczyłem, niezależnie od tego, co ode mnie na studiach wymagano. To była prawdziwa intelektualna stymulacja. Widziało się sens tego rozwoju, zdobywania wiedzy, poszerzania horyzontów na różnych płaszczyznach.

A co wyniosłem ze spotkania z doktorkami? Powiem tyle, że głównie SIĘ wyniosłem.

Swego czasu zmęczyłem esej „Bunt mas” Ortegi y Gasseta. Z początku dłużyżny były męczące, bo ileż można się znęcać nad pojęciem masy, ileż szpałt można o tym zapisać. Ale dobra, autor był filozofem i socjologiem, więc wody nalać musiał. Natomiast później przychodzą same delikcje, włączając w to rozdział o nauce. I tutaj chapeaus bas dla Ortegi y Gasseta. Napisać takie słowa w 1930 roku, że nauka odchodzi od korzeni,

przestaje być źródłem zrozumienia świata, jak była widziana od czasów odrodzenia, natomiast staje się domeną specjalistów i biurokracji... napisać coś takiego, to trzeba było być geniuszem o umyśle ostrym jak brzytwa.

I właśnie wyżej podałem opis takiej zbuntowanej masy. To jest bowiem nic innego jak grupka ludzi przyuczona do wykonywania pewnych czynności laboratoryjnych; może poza tym jednym kumplem, który jeszcze jest coś wart. Piszę celowo „jeszcze”, ponieważ w takich mało rozwojowych środowiskach ludzie lubią zidiociec. Także na taki negatywny trend w rozwoju nauki wskazywał Norbert Wiener we wstępie do „Cybernetyki”. Co pisał, że wiek dziewiętnasty znaczyli giganci tacy jak Darwin czy Maxwell, a teraz mamy coraz węższych specjalistów. Wskazywał na negatywne konotacje tego zjawiska, jak problem z tworzeniem wielkich intelektualnych syntez. Wiener jednak był teoretykiem i jego zdaniem wielkie działania wyznaczało tworzenie nowych paradygmatów. Kiedy nie ma komu się tym parać, zdobywa się tylko surowe dane, będące bezużyteczne, wyrwane z kontekstu. A ja bym powiedział inaczej. Obecnie to nie ma komu obserwować świata, zadawać ciekawych pytań i szukać na nie odpowiedzi. Wszyscy bowiem zainteresowani grantami i ciepłymi posadkami. Gdyby tak wygodni byli uczeni w poprzednich epokach, to moglibyśmy zapomnieć o obecnym stanie techniki.

W obecnych czasach obserwujemy pochwałę głupoty na wielu poziomach. I to nie jest żadna satyra jak w „Stultitiae Laus” Erazma z Rotterdamu. Z drugiej strony niektórzy wróżą nowe średniowiecze i zatrzymanie rozwoju. Może i tak jest. Tylko jednak – z całym szacunkiem! – średniowieczni scholastycy stali wyżej niż wspomniane wyżej dumne państwo doktorzy.

Autostwo: Erno

Źródło: WolneMedia.net